

Krzysztof Pilawski

Nie wierzę w jedność organizacyjną ugrupowań na lewo od Kaczyńskich i Tuska. Co więcej uważam, że tę przestrzeń zagospodarują dwie duże, konkurencyjne siły polityczne: liberalno-socjaldemokratyczna oraz socjalistyczna. To jednak przyszłość. W tej chwili rozproszona centrolewica walczy o polityczne przetrwanie. Może jej w tym pomóc wyciszenie konfliktów (programowych, personalnych, autentycznych, inspirowanych) i wystawienie wspólnej listy lewicy do przyszłorocznych wyborów europejskich.

Co prawda w 2005 roku nie narodziła się IV RP, ale nastąpił przełom: dotychczasowe główne siły III RP zostały zdezonizowane przez konserwatywną prawicę. Po trzech latach prawica niepodzielnie rządzi i rozdaje karty, zaś liberalno-demokratyczne centrum i lewica zostały zepchnięte na margines życia politycznego.

W ostatnich wyborach parlamentarnych Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość zdobyły łącznie prawie 74 proc. głosów. Po roku sumaryczne poparcie dla obu partii nie zmniejszyło się – zamierza na nie głosować co najmniej trzy czwarte wyborców. Zmieniły się jedynie proporcje: PO zwiększyła przewagę nad PiS z dziewięciu procent do około dwudziestu. PO i PiS panują niepodzielnie w mediach, koncentrując na sobie nieustannie uwagę obywateli. Sprzyja temu tabloidyzacja polityki wykorzystywana przez spin doktorów prawicowych partii. Publiczność w chwilach wolnych od sekundowania zmaganiom Dody z Jolą Rutowicz pasjonuje się wyścigiem do krzeseł i samolotów z udziałem prezydenta i premiera oraz świńskim ryjem wniesionym do telewizyjnego studia przez posła Janusza Palikota. Kamery są skierowane niemal wyłącznie na gladiatorów. Politycy innych partii trzymają halabardy, w najlepszym razie kubelki i łopatkę do zabawy w piaskownicy (z takimi przyrządami przyszli na konferencję prasową politycy SLD). Informacje o tym, co dzieje się na lewicy są zdominowane przez toczące się wewnątrz niej podchody.

Polskie Stronnictwo Ludowe, choć rządzi z Platformą, to niepokoi się słabym, ocierającym się o granicę pięcioprocentowego progu, poparciem. Ludowcy mają świeżo w pamięci los koalicjantów PiS. Sukces rządu Donalda Tuska nie musi przełożyć się na wzrost popularności PSL, za to ewentualna porażka gabinetu, która wywoła w Platformie gripę, może spowodować u PSL podwójne zapalenie płuc. Na szczęście dla ludowców Platforma nie naśladuje na razie PiS, które w poprzedniej kadencji nie tylko intrygowało w szeregach sojuszniczych partii, ale także inspirowało rozłam w PSL. Po odejściu grupy Zdzisława Podkańskiego, która założyła propisowskie PSL „Piaś”, partia Waldemara Pawlaka zachowuje jedność organizacyjną, próbuje umacniać wpływy w rządzie, administracji państwowej i strukturach samorządowych. W najtrudniejszej sytuacji znajdują się siły polityczne, które weszły do Sejmu z przeszło trzynastoprocentowym poparciem jako wyborcza koalicja Lewica i Demokraci. LiD upadł w wyniku nacisku okazanego na liderów Sojuszu Lewicy Demokratycznej przez część jej działaczy przed czerwcowym kongresem. 53-osobowy klub LiD podzielił się na trzy części: 42-osobowy klub Lewica, 9-osobowe koło SDPL-Nowa Lewica i trzyosobowe Demokratyczne Koło Poselskie. Żadna z trzech sił - SLD, SDPL, Partia Demokratyczna - nie zyskała na rozpadzie. Lewicowi posłowie mają więcej do powiedzenia głównie wtedy, gdy adoruje ich któraś z prawicowych partii. Znaczenie lewicy wynika bowiem z arytmetyki sejmowej: jej głosy rozstrzygają o przyjęciu lub odrzuceniu prezydenckiego weta. Dzięki temu Grzegorz Napieralski mógł posiedzieć kilka godzin w Pałacu Prezydenckim, zaś niektórzy posłowie lewicy w Sejmie są kokietowani przez liderów PO. PiS pokłada nadzieje w ekipie Grzegorza Napieralskiego, Platforma – w Wojciechu Olejniczaku i Ryszardzie Kaliszu.

Zmiana na stanowisku przewodniczącego SLD nie wpłynęła na wzrost popularności partii. Potwierdziła się opinia, że zarówno Wojciech Olejniczak, jak i Grzegorz Napieralski nie dysponują potencjałem niezbędnym do wyprowadzenia Sojuszu z przewlekłego kryzysu, opracowania wiarygodnej dla wyborców lewicy strategii programowej i przebicia się ze swoją ofertą do opinii społecznej. Ich głównym atutem wciąż pozostaje wiek, a nie kwalifikacje. Wojciech Olejniczak popełnił zasadniczy błąd, podejmując decyzję o rozwiązaniu LiD w nadziei na ponowny wybór na szefa partii. Nie zyskał sympatii przeciwników w SLD i wśród tradycyjnych zwolenników tej partii, za to zraził do siebie polityków SDPL i PD. Jednym nieostrożnym posunięciem pozbawił się szans walki o przywództwo w nowym projekcie centrolewicowym, który może zrodzić się przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Były szef SLD musi odczekać zapewne kilka lat, by znowu myśleć o zajęciu najważniejszej pozycji na lewicy (centrolewicy). Sam jeszcze nie zdecydował, gdzie spędzi ten czas: w Sejmie, czy Parlamencie Europejskim.

Po zmianie przywództwa w SLD mówiono, że Olejniczak zostanie najpóźniej we wrześniu usunięty ze stanowiska szefa klubu parlamentarnego. Zwycięski Grzegorz Napieralski czuł za sobą poparcie wielu posłów, dla których kwestią najważniejszą jest pozostawanie w Sejmie i na „biorących” miejscach list wyborczych. Część z nich liczyła, że nowe otwarcie w Sojuszu poprawi notowania partii, a co za tym idzie zwiększy ilość miejsc „biorących”. Tak się jednak nie stało.

Po zmęczonej twarzy siwiejącego w błyskawicznym tempie Grzegorza Napieralskiego najlepiej widać, jak niewiele pozostało po czerwcowym „polskim Zapatero”. Żadne z jego szumnych zapowiedzi nie przybrały konkretnej postaci: religia w szkole jest niezagrożona, nie dojdzie do referendum w sprawie amerykańskich rakiet w Polsce, uczniowie będą się nadal edukować seksualnie jedynie w czasie pozalekcyjnych zajęć praktycznych.

Nikt już nie nadaża za nowymi pomysłami przewodniczącego SLD. Grzegorz Napieralski sam się w nich płacze i popełnia kolejne niezręczności. Przed trzema laty w ogłoszeniu prasowym uznał się za spadkobiercę Sierpnia i „Solidarności”, w poprzedniej kadencji poparł uchwałę sejmową, w której napisano, że PRL był okresem zniewolenia, zaś w październiku 2008 roku uznał się za spadkobiercę PRL, stanu wojennego i gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Szef SLD nie pojawił się na niedawnym Kongresie Porozumienia Lewicy, przecząc własnym wielokrotnym deklaracjom o szerokim otwarciu na środowiska lewicy.

Bodaj jedyną zapowiedzią, jaką spełnił Grzegorz Napieralski, była eksmisja z Rozbrat zespołu analityków kierowanego przez Lecha Nikolskiego i Krzysztofa Janika (ten ostatni jest jednym z głównych animatorów projektu Otwarta Polska). Na miejscu starych analityków nie pojawili się nowi. Napieralski nie ma własnego zaplecza intelektualnego, które pomogłoby mu w szybszej edukacji politycznej. Szef SLD czuje się wciąż na swoim stanowisku tak niepewnie, że dolatuje do Warszawy ze Szczecina i nie słyhać, by miał się przeprowadzić na stałe do stolicy.

Partyjni koledzy przewodniczącego z niepokojem obserwowali jego powyborcze poczynania. O ile przed wyborami Olejniczak zrobił ruch w kierunku SLD-owskiego aparatu żądającego rozpędzenia LiD, to Napieralski po wyborach dokonał ruchu w kierunku dawnego Olejniczaka: chciał się pojednać i zaprzyjaźnić z Aleksandrem Kwaśniewskim, pozyskać Włodzimierza Cimoszewicza. Szykował miejsce dla centrolewicy kosztem miejsca dla działaczy, którzy wynieśli go na partyjny szczyt (m.in. byłych posłów i senatorów, którzy chcą wrócić do parlamentu). Przewodniczący pozyskał eurodeputowanego Marka Siwca (ten sam polityk wcześniej stał tuż za plecami Wojciecha Olejniczaka), jednego z najbliższych politycznych przyjaciół Aleksandra Kwaśniewskiego. Napieralski liczył, że Siwiec zachęci Cimoszewicza, a

nawet samego Kwaśniewskiego do udziału w wyborach europejskich w barwach SLD. Marek Siwiec został szefem sztabu eurowyborczego Sojuszu, utrzymał ważną pozycję na portalu internetowym SLD. Otoczenie Napieralskiego próbowało wymóc na Monice Olejnik zastąpienie w niedzielnych dyskusjach w radiu Zet Olejniczaka Siwcem, jednak dziennikarka stanowczo odmówiła.

Poza Markiem Siwcem Napieralski zyskał poparcie (choć nie wiadomo na ile trwałe) kilku osób dotychczas związanych z obozem Aleksandra Kwaśniewskiego, liczących na kontynuowanie kariery pod przywództwem nowego szefa SLD. Z drugiej strony część polityków Sojuszu kojarzonych z radykalizmem otwarcie stanęła po stronie Olejniczaka. Widać wyraźną sprzeczność między radykalnymi zapowiedziami przewodniczącego a gestami, które czyni w kierunków polityków bardzo umiarkowanych. To potwierdzenie, że w istocie nie chodzi mu o program (usunięcie tzw. dwugłosu), lecz umocnienie wpływów w partii. Przewodniczący SLD chce zredukować tę partię do własnej koterii. Taka taktyka nie może przynieść długofalowo (czyli w perspektywie najbliższych kilku miesięcy, a najdalej kilku lat) korzyści. Ilu osobom można obiecać kandydowanie na prezydenta, gwarantowane miejsca na listach w wyborach do Parlamentu Europejskiego, funkcje partyjne i parlamentarne? Gdyby sondażowe poparcie dla SLD utrzymywało się stabilnie powyżej 10 procent, obietnice Napieralskiego wyglądałyby poważniej i Wojciech Olejniczak zostałby usunięty bez żadnych problemów z funkcji szefa klubu parlamentarnego.

Olejniczak czując, że jego rywal słabnie, nabrał pewności siebie i odwagi. Pojawił się w Krakowie na spotkaniu inicjatywy Otwarta Polska, która jest traktowana jako konkurencja dla Sojuszu, co podkreślał fakt, że do Krakowa nie zaproszono Grzegorza Napieralskiego. Przed krakowskim spotkaniem Wojciech Olejniczak w sprzyjającej mu „Gazecie Wyborczej” skrytykował swego partyjnego szefa.

Napieralski, który już wcześniej odpowiedzialność za własną nieudolność przełożył na Olejniczaka, wykorzystał krakowski epizod konkurenta do usunięcia do z funkcji szefa klubu poselskiego (formalnym powodem była różnica zmian obu polityków w podejściu m.in. do ustawy medialnej i o służbie zdrowia). Ten wniosek przeszedł na posiedzeniu prezydium SLD zaledwie jednym głosem, co jest dowodem na gwałtowny spadek poparcia dla szefa partii w jego własnym bastionie. Wynik głosowania umocnił zdeklarowanych stronników Olejniczaka w Sejmie i rozbudził dodatkowo strach w szeregach niezdecydowanych, czyli największej grupy posłów. Do tego doszły obawy, że konflikt między kierownictwem partii a klubem oraz tarcia wewnątrz klubu doprowadzą do kolejnego rozłamu w małej (mierząc wpływami społecznymi) partii. W efekcie za pierwszym razem Napieralskiemu nie udało się nakłonić klubu do zmiany przewodniczącego. Wniosek w ogóle nie był głosowany.

Spór personalny liderów osłabia SLD. Niezależnie od tego, czy Olejniczak pozostanie szefem klubu, czy zastąpi go Napieralski, konflikt nie zostanie wygaszony. Szansą na to mogłoby być faktyczne przejęcie kierownictwa partii i klubu przez doświadczonego polityka wywołującego najmniej kontrowersji. W tym kontekście najczęściej wymienia się Jerzego Szmajdzińskiego. Dysponując największymi pieniędzmi i zdolnościami organizacyjnymi, liderzy Sojuszu jeszcze we wrześniu byli pewni, że ułożą najważniejszą listę wyborczą lewicy w wyścigu do europarlamentu. Tak jednak być nie musi.

Aleksander Kwaśniewski nie wystartuje w ogóle w eurowyborach, zaś Włodzimierz Cimoszewicz, jeśli to uczyni, to z całą pewnością nie pod szyldem SLD. W Krakowie Cimoszewicz mówił o jednej liście centrolewicy, dając równocześnie do zrozumienia, że grupowałyby się ona wokół szerokiego porozumienia z nim w roli głównej. Oznaczałoby to

jeszcze większe osłabienie Grzegorza Napieralskiego. Wspólna lista, której patronowałby Cimoszewicz, musiałaby uwzględnić polityków Socjaldemokracji Polskiej uważanych w szeregach SLD za „zdrajców” oraz także źle przez nich postrzeganej Partii Demokratycznej. Inicjatywa Otwarta Polska to kolejna próba politycznego sojuszu lewicy i środowiska dawnej Unii Wolności związanego z „Gazetą Wyborczą”. Nazwa mimowolnie nasuwa skojarzenie z organizacją Otwarta Rzeczpospolita – Stowarzyszenie przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii założoną w maju 1999 roku. Głównym celem stowarzyszenia jest walka z antysemityzmem. Otwarta Rzeczpospolita przypomina o holocauście, walczy z Radiem Maryja, popularyzuje książkę Jana Tomasza Grossa „Strach”. W marcu br. wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim stowarzyszenie zorganizowało konferencję „40 lat później: Marzec 1968-2008”. Wystąpiły na niej m.in. czołowe osobistości dawnej opozycji demokratycznej: Adam Michnik, Aleksander Smolar (szef Fundacji im. Stefana Batorego) Tadeusz Mazowiecki. Jednym z oratorów był profesor Jerzy Jedlicki, przewodniczący Rady Programowej stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita, który w styczniu 2006 roku w artykule dla „Gazety Wyborczej” ubolewał nad losem Unii Wolności oraz jej następnego wcielenia Partii Demokratycznej („Faktem jest, że partia jej najbliższa okazała się jakaś niedołężna. Mając wiele atutów i mądrych przywódców, pozwoliła się zatopić i nie znajduje w sobie dość siły, aby wynurzyć się na powierzchnię”). Postulował równocześnie stworzenie nowej siły o charakterze demokratycznym i inteligentnym. Tak określił jej środowisko: „Czytamy <<Gazetę Wyborczą>>, <<Politykę>> i <<Tygodnik Powszechny>>. Czasami dodatkowo <<Rzeczpospolitą>> (zwłaszcza sobotni <<Plus-Minus>>), czasami <<Przekrój>> albo lewicowy <<Przegląd>>, z miesięczników staramy się przeglądać (bo na porządne czytanie czasu już nie starcza) <<Zeszyty Literackie>>, <<Res Publicę Nową>>, <<Przegląd Polityczny>>, <<Więź>>. Zdarza nam się do tych czasopism coś posyłać. To więc jest nasza ideowa tożsamość, nasza definicja”. Tego typu inteligencka, demokratyczna, oparta o ducha Okrągłego Stołu partia jest od dawna bliska Włodzimierzowi Cimoszewiczowi, który we wrześniu 1995 roku wspólnie z Adamem Michnikiem opublikował w „Gazecie Wyborczej” artykuł „O prawdę i pojednanie”, wzywający do zakopywania historycznych rowów. Jednak dopiero po klęsce wyborczej w 2001 roku politycy UW otwarli się na współpracę z SLD (wcześniej rządili z AWS, podkreślając wspólne solidarnościowe korzenie, popierając lustrację i powołanie Instytutu Pamięci Narodowej). Współpraca okazała się możliwa po zmuszeniu Leszka Millera do rezygnacji ze stanowisk przewodniczącego SLD i premiera. Po powołaniu wysiłkiem Aleksandra Kwaśniewskiego (bardzo pomagał w mu w tym kolejny szef SLD Krzysztof Janik) rządu Marka Belki politycy związani z Unią Wolności weszli do rządu, uzyskali ważne miejsce w dyplomacji. Uwieńczeniem zbliżenia obu środowisk było utworzenie Partii Demokratycznej, do której weszli m.in. Marek Belka i Jerzy Hausner oraz grono mniej znanych działaczy SLD. Pod deklaracją ideową PD podpisało się wiele znakomitości: Magdalena Abakanowicz, Zbigniew Bujak, Izabela Cywińska, Marek Edelman, Bronisław Geremek, Agnieszka Holland, Olga Krzyżanowska, Jan Kułakowski, Kazimierz Kutz, Bogdan Lis, Janusz Onyszkiewicz, Tadeusz Mazowiecki, Henryk Samsonowicz, a także popularni artyści: Andrzej Grabowski, Piotr Fronczewski, Marek Kondrat, Piotr Machalica, Daniel Olbrychski, Andrzej Seweryn, Zbigniew Zapasiewicz. Pod koniec maja 2005 roku w szeregach partii było trzynaście tysięcy osób. Osiem tysięcy spośród nich wcześniej należało do Unii Wolności. Niektórzy politycy UW nie przeszli do nowej partii, kontestując jej formułę. Wśród nich był obecny marszałek Senatu Bogdan Borusewicz. Wybory 2005 roku pogrzebały Partię Demokratyczną, która, podobnie jak UW cztery lata

wcześniej nie zdołała dostać się do Sejmu (uzyskała 2,45 proc. głosów). Środowisko dawnej Unii Wolności było zmuszone ponownie szukać wsparcia na lewicy. W 2006 roku Partia Demokratyczna razem z SLD, SDPL i Unią Pracy wzięła udział w wyborach samorządowych. W przypominających najbardziej wybory parlamentarne wyborach do sejmików województw koalicja Lewica i Demokraci uzyskała dobry wynik -14,25 proc. Mogła go poprawić w wyborach parlamentarnych w 2007 roku, jednak uniemożliwił to fatalny styl kampanii wyborczej, słaba dyspozycja Aleksandra Kwaśniewskiego i zakulisowe konflikty liderów. Wielu potencjalnych zwolenników LiD oddało głos na Platformę Obywatelską lub podobnie jak w 2005 roku zostało w domu.

Po krakowskim spotkaniu los Otwartej Polski jest wciąż niepewny. Grono osób, które zebrało się w Krakowie było znacznie skromniejsze niż to, które podpisywało się pod deklaracją ideową Partii Demokratycznej (ze świata kultury postacią najbardziej znaną był Daniel Olbrychski). Włodzimierz Cimoszewicz zapowiedział, że może wziąć udział jedynie we wspólnym przedsięwzięciu centrolewicy. Z drugiej strony pobrzmiwały głosy, że Otwarta Polska ma być projektem alternatywnym wobec SLD. Jeden z nich należał do Dariusza Rosatiego, który chce stanąć na czele nowego ruchu. Rosati już rozpoczął kampanię wyborczą do Parlamentu Europejskiego. W stolicy i wokół niej jeżdżą autobusy oklejone jego podobizną. Napis obok głosi „Jestem Europejczykiem”. Dopiero po uważniejszej lekturze okazuje się, że te słowa odnoszą się nie do polityka, lecz są tytułem organizowanego przez niego za pieniądze unijne konkursu.

Ambicje Rosatiego mogą zderzyć się z ambicjami innych polityków, choćby Andrzeja Celińskiego, Marka Borowskiego i Marka Balickiego. Ten spór przedstawiciele SDPL mogą rozgrzać walczący o nowe miejsce dla siebie politycy SLD (m.in. Krzysztof Janik i Ryszard Kalisz) oraz przedstawiciele Partii Demokratycznej wspierani przez „Gazetę Wyborczą”. Ewentualna kłótnia doprowadzi do wycofania się z projektu Włodzimierza Cimoszewicza i pogrzebie go.

Gdyby jednak udało się doprowadzić do szerokiego porozumienia – nawet bez formalnego udziału SLD – podobny centrolewicowy, czy ściślej, demokratyczny projekt miałby większe szanse na wprowadzenie swojej reprezentacji do Parlamentu Europejskiego niż partia Napieralskiego.

O ile obecny Sojusz reprezentuje niewielką część dawnego żelaznego elektoratu (osoby, które będą z przyzwyczajenia głosowały partię rządzącą na Rozbrat) oraz działaczy partyjnych, to politycy skupieni wokół inicjatywy krakowskiej mają umocowanie poza strukturami partyjnymi: w demokratycznej światopoglądowo części polskiej opinii publicznej.

To po pierwsze. Po drugie, Platforma Obywatelska dokonała zwrotu w kierunku PiS (inicjatywa pozbawienia uprawnień emerytalnych gen. Wojciecha Jaruzelskiego, ponownie wrzucona idea tzw. dezubekizacji, ocieplenie na linii Tusk-Kaczyńscy), czym naraziła się sporej części wyborców, którzy ją poparli w ubiegłym roku. Świetnie wyczuł to Aleksander Kwaśniewski, który odważnie zaatakował radykalizm PO i jeszcze odważniej wystąpił w obronie Wojciecha Jaruzelskiego. Zyskał sobie tym przychylność także części zwolenników SLD. Po trzecie, wybory europejskie są dla Sojuszu trudniejsze od parlamentarnych, niezwykle trudno wytłumaczyć elektoratowi tej partii, że ma jakiś interes w wyborze swoich europosłów. Inicjatywie krakowskiej, jeśli uformuje się w podmiot polityczny, byłoby łatwiej. Frekwencja wyborcza w wyborach europejskich jest mniejsza niż w parlamentarnych. Do eurowyborów idą w pierwszym rzędzie ludzie wykształceni, inteligencja, w tym ta, która sympatyzuje z ugrupowaniami umiarkowanymi, centrowymi. W poprzednich (pierwszych) wyborach

europejskich SLD uzyskał poparcie 9,35 proc. wyborców, zaś SDPL i Unia Wolności w sumie otrzymały 12,66 proc. Jeśli inicjatywa krakowska okrzepnie, na czele jej listy staną popularne postaci z SDPL, Partii Demokratycznej, znane osobistości życia publicznego nie związane z żadną partią. O znalezieniu się na niej mogą zabiegać także niektórzy czołowi politycy SLD. Jednak inteligencki („krakowski”) etos nie jest w stanie zapewnić euroliście poparcia wskazującego na szansę przełamania monopolu prawicy. Duża grupa lewicowych wyborców może odebrać Otwartą Polskę jako zakamuflowaną formę wskrzeszenia Unii Wolności, partii w dużej mierze odpowiedzialnej za skrajnie niesprawiedliwy charakter stosunków społecznych po 1989 roku.

W wyborach do Parlamentu Europejskiego nie rozstrzyga się kształtu zmian funkcjonowania polskiej służby zdrowia i dziesiątków spraw, w których interesy liberalnego centrum i lewicy społecznej są trudne, wręcz niemożliwe, do pogodzenia.

W wyborach do Parlamentu Europejskiego liczą się sprawy demokracji, poszanowania praw człowieka, praw mniejszości, tolerancji wspólne dla liberalnych demokratów i demokratycznej lewicy społecznej. Dlatego w eurowyborach o koalicję tych sił dużo łatwiej niż w wyborach do parlamentu krajowego. Ta koalicja nie oznaczałaby wcale kapitulacji ideowej, podporządkowania się liberalnemu programowi gospodarczemu. Wspólne byłyby hasła demokratyczne i wspólny sprzeciw wobec monopolizacji sceny politycznej przez dwie prawicowe partie. Skuteczność tego sprzeciwu będzie mierzona procentami poparcia, a nie kolejną licytacją: kto jest prawdziwą lewicą, kto prawdziwszą, a kto najprawdziwszą i jedyną. Podobna licytacja jest na rękę braciom Kaczyńskim i Donaldowi Tuskowi, sprzyja utrwaleniu prawicowej hegemonii, zmniejsza szanse na odrodzenie lewicy w Polsce.

*Krzysztof Pilawski, dziennikarz, publicysta, stały współpracownik „Przeglądu Socjalistycznego”*